

*IGNACY DASZYŃSKI*

*WIELKI CZŁOWIEK  
W POLSCE*

*SZKIC PSYCHOLOGICZNO POLITYCZNY*

WYDAWNICTWO WARSZAWSKIEGO ODDZIAŁU TOWARZYSTWA  
UNIwersytetu Robotniczego  
WARSZAWA 1925

WYDAWNICTWA WARSZAWSKIEGO ODDZIAŁU T. U. R.:

*Tadeusz Hołówko* — *Co robotnik zdobył przez niepodległość?*  
(wyczerpane).

*Michał Wyrostek* — *Ustrój państwowy Rzeczypospolitej Polskiej*  
(wyczerpane).

*Tadeusz Szpotański* — *Kraj, w którym żyjemy* (wyczerpane).

*Kazimierz Pużak* — *Nowa ustawa o ochronie lokatorów* (wyczerpane).

*Otto Bauer* — *Młodzież robotnicza, a ruch socjalistyczny* (wyczerpane).

*St. Stempel* — *Jak jest naprawdę dzisiaj w Rosji?* (wyczerpane).

*Tadeusz Szpotański* — *Gruzja*.

*Kazimierz Czapinski* — *W drodze do zwycięstwa*.

*Leon Wasilewski* — *Sprawa Kresów i mniejszości narodowych w Polsce*.

*Stanisław Posner* — *Liga Narodów*.

*Dr. Eugenia Pragierowa* — *Rozwój demokracji po wojnie światowej*.

*Adam Szczypiorski* — *Czartyzm (z dziejów walki robotników angielskich o prawa polityczne)*.

*Marja Konopnicka* — *Wybór poezji*.

*Ignacy Daszyński* — *Wielki Człowiek w Polsce*.

IGNACY DASZYŃSKI

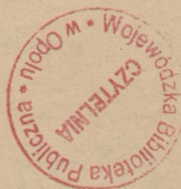
# WIELKI CZŁOWIEK W POLSCE

SZKIC PSYCHOLOGICZNO POLITYCZNY

Kolekcja  
Emila Kornasia

*Wielki Człowiek!*

WYDAWNICTWO WARSZAWSKIEGO ODDZIAŁU TOWARZYSTWA  
UNIwersytetu Robotniczego w Warszawie



CM KEK 319707

Województwo Opolskie  
Biblioteka Publiczna

ODBITO CZCIONKAMI DRUKARNI LUDOWEJ W KRAKOWIE

Wpisano do Księgi Akcesji

Akc. Dł nr

193/2012 / CM

Chcę mówić w tym szkicu o Józefie Piłsudskim. Nie nazywam go największym ze współczesnych Polaków, bo może wśród 27 milionów obywateli polskich jest ktoś inny, kogo należałoby tak nazwać. Może chłop, może robotnik jaki, może żołnierz, a nawet może jaka niewiasta...

Myśląc tak, idę za modą, która z obawy pomyłki każe stawiać pomniki „nieznanemu żołnierzowi“, jak dawni Grecy „nieznanemu bogu“. Polacy z największą racją mogą stawiać takie pomniki, bo od bardzo dawna nie znali „polskiego żołnierza“. Może więc ludzie stawiać będą kiedyś płyty kamienne nieznanemu w Polsce „największemu człowiekowi“, symbolizując wedle upodobania jakieś wielkości największe, które zdołają sobie wyobrazić.

Nie chcę zatem popełniać błędu i dlatego nazywam Józefa Piłsudskiego wielkim człowiekiem współczesnej Polski. Kreślę wielkość człowieka jako pomnik epoki, bo każda ma innych wielkich ludzi. Wystarczy rzucić nazwiska dwóch „wielkich ludzi“: Dżingishana i Sokratesa, aby zrozumieć przepaści, dzielące od siebie pojęcia o wielkości historycznej. Ściśle biorąc, niema bezwzględnego — poza epoką — sprawdzianu wielkości człowieka. Dopiero tło danej epoki posłużyć może do jej uwypuklenia i zrozumienia. Nieraz następne pokolenia danego czasu odczuwają dopiero wielkość nieuznaną przez współczesnych. Najczęściej nawet tak bywa, bo wielcy ludzie są bardzo często nader niewygodni dla współczesnych. Niewiadomo zazwyczaj, co z nimi począć. Najwygodniej jeszcze chwalić ich i wieńczyć, ale tak, żeby pod nawałem wieńców nie mogli oddychać... Wielkość zawstydzająca małych, irytuje ich w skrytości duszy. Wzruszają ramionami, kiedy widzą lub słyszą wielkiego człowieka; liczą na to, że się wreszcie zmniejszy i stanie dla nich zrozumiały. Wkońcu kląć pocichu i prote-

stują, a protest ten z biegiem czasu przechodzi w ogólne potępienie. Jeszcze jeden drugiego bada nieśmiało, czy można już głośno zaprotestować, poczem odzywają się jeden po drugim, wreszcie chórem i coraz głośniej potępiają „wielkiego człowieka“, który zazwyczaj — ich zdaniem — za długo żyje i nie daje się już za życia umieścić w jakimś Panteonie, gdzieby wreszcie zamilkł i pozwolił robić z siebie, co małym potrzeba. Cnota jest dla ogromnej większości ludzi pewnego rodzaju wyrzutem i zgoła nie miłą karykaturą codziennego ich życia. To też ludzie niosący wieńce, mają zbyt często kamienie ukryte w zanadrzu... A już najgorsi są ci, którzy sami chcieliby za wielkich uchodzić, lub którym przyznano wielkość na kredyt. Ci duszą się w zawiści i gniewie, czując prawdziwego wielkiego człowieka. Przesadzają tedy w skromności, aby w niej utopić innych — wyższych. „Tylko łajdacy są skromnymi“ — mówi jednak pewne obce przysłowie.

Zabawną rolę odgrywają często przyjaciele i najbliżsi wielkich. Ci powinni przecież wiedzieć, co myśli ich wielki człowiek i mają za zadanie te myśli przetłumaczyć na język zrozumiały dla powszedniości. Muszą tedy robić wtajemniczonych, a sami w głowę zachodzą, czego też chce ich wielki przyjaciel. Spłaszczają go, jak mogą, ze szczerzej przyjaźni i doczekują się często przerażającej kompromitacji. Co kilka tygodni muszą mówić co innego, wręcz sprzecznego z tem, co mówili tak niedawno. Ludzie udają się do nich po informacje, a oni są w największym kłopotcie. Trzeba się bowiem nieco oddalić od przedmiotu wysokiego, aby go ująć w całości i ocenić trafnie. Z pośród bliskich zachowują się najswobodniej skromne i ciche żony, gospodynie i służba, będące długo w domu. Synowie bywają wielkością ojca przytłoczeni, córki zazwyczaj zmanierowane i nietaktowne.

.....  
 Piłsudski jest głęboko moralnym człowiekiem. Jest to moralność daleka od tuzinkowych pojęć, chociaż każda moralność jest wytworem dziejowym i żaden „nadczyłowiek“ nie ujdzie tej atmosfery społecznej, w której rósł i którą oddychał. Jest

człowiekiem dobrym i wierzącym w dobro. Inaczej nie mógłby być przez najpiękniejszy wiek swój... socjalistą. Ale nie szukajcie w nim ślamazarnego apostoła dobra, piękna i prawdy, któryby głosił choć przez chwilę „niesprzeciwianie się złemu“, rezygnację. Jest to człowiek walki, prowadzonej przez całe życie; człowiek, dla którego protest „moralny“ jest bezsiłą, o ile nie łączy się z myślą pokonania złego. Dlatego nienawidzi frazesu moralnego, maskującego bezsiłę. Lepiej już milczeć!... Oportunizmu w nim nikt nie znajdzie. Czy powstało to w jego dziejach walki z caratem, gdzie oportunizm był w oczach rewolucjonisty głupim, wobec absolutnej przemocy, nonsensem politycznym, czy odziedziczył po przodkach tę hardość wewnętrzną, to już dość obojętne. Moralność jego jest moralnością walczącego człowieka. W walce zaś opiera się na swych samodzielnych zamiarach, które chce urzeczywistniać z uporem niemal szalonego. Lepszy w jego oczach upór nawet w błędzie, byle odpowiadał zadaniom i celom, prowadzącym do wielkich rzeczy, niż wahanie się, celem osiągnięcia poprawności. Jest to wódz, który umie natchnąć ludzi obłędem napozór uwielbieniem swojej słuszności i fanatyczną wiarą w sprawę, którą reprezentuje. Taki wódz może być w dzisiejszych czasach tylko wodzem ubogich ludzi. Bogaci muszą go nienawidzić, lękać się go i szukać przeciw niemu „zbawców“. Nie jest to bowiem żaden Wallenstein, który gotów był służyć cesarzowi lub przeciw cesarzowi miecz podnosił wedle potrzeby... To z głębi rewolucyjnej Polski wyrosła postać twórcy niepodległego państwa, któremu chce służyć i nikomu więcej. Służba ta nie jest ani łatwą, ani prostolinijną. Jest to w naszych warunkach dzisiejszych męka człowieka. Ale właśnie w tej męce rozwija się prawdziwa wielkość.

A może lepiej, żeby Piłsudski sam o sobie mówił. Oto mam przed sobą jego list do przyjaciela, pisany przed wyprawą na pociąg w Bezdanach w jesieni 1908 r. Autor ma wówczas lat 41, jest zatem w najpiękniejszym wieku męskim. Przewiduje u wstępu listu, że może z wyprawy żywym nie wróci i zwraca do ewentualnego „nekrologisty“ małą prośbę:

„...proszę tylko, byś nie robił ze mnie „dobrego oficjera, lub mazgaja i sentymentalistę“, tj. człowieka poświęcenia, rozpinającego się na krzyżu dla ludzkości, czy czego tam. Byłem do pewnego stopnia takim, lecz było to za czasów młodości górnej i chmurnej; teraz nie, to minęło i minęło bezpowrotnie, to mazgajstwo i krzyżowanie się dokuczyło mi, gdym na to u naszych inteligentów patrzył; takie to słabe i beznadziejne. Walczę i umrę jedynie dlatego, że w wychodku, jakim jest nasze życie, żyć nie mogę, to ubliża — ubliża mi jako człowiekowi z godnością nie niewolniczą! Niech dzieci się bawią w hodowanie kwiatów, czy socjalizmu, czy polskości, czy czego innego w wychodkowej (nawet nie klozetowej) atmosferze — ja nie mogę. To nie sentymentalizm, nie mazgajstwo, nie maszynka ewolucji społecznej, czy tam co — to zwyczajne człowieczeństwo. Chcę zwyciężyć, a bez walki i to walki na ostre, jestem nie zagajnikiem nawet a wprost bydlęciem, okładanem kijem czy nahajką. Rozumiesz chyba mnie. Nie rozpacz, nie poświęcenie mną kieruje, a chęć zwyciężenia, przygotowania zwycięstwa“.

„Ostatnią moją ideą, której nie rozwinąłem jeszcze nigdzie, jest konieczność w naszych warunkach wytworzenia w każdej partji, a tembardziej esowej (socjalistycznej, *przyp. mój*), funkcji siły fizycznej, funkcji, że użyję tak niezdolnego dla uszu „humanitarystów“ określenia (histeryczne panny nie znoszące drapania po szkłe, ale znoszące pranie ich po pysku) przemocy brutalnej. Tę ideę chciałem przeprowadzić w swojej działalności ostatnich lat i przyrzekłem sobie, że albo swoje zrobię, albo zgine. Zrobiłem już dużo w tym kierunku, ale za mało, by mózdz wypocząć na laurach i zająć się serjo przygotowaniem bezpośrednim do walki i teraz stawiam siebie na kartę“.

A dalej czytamy w liście:

„Chcę właśnie sobą, którego nazywano i szlachetnym socjalistą i człowiekiem, o którym nawet wrogowie paskudztwa głośno nie powiedzą, człowiekiem zresztą, który ma trochę zasługi w kulturze ogólnonarodowej, podkreślić tę gorzką, bardzo

gorzką prawdę, że w społeczeństwie, które walczyć o siebie nie umie, które cofa się przed każdym batem, spadającym na twarz, ludzie ginąć muszą nawet w tem, co nie jest szczytnem, pięknem i wielkiem“...

Oto słowa Piłsudskiego w obliczu prawdopodobnej śmierci. Jakież to dawne [dzieje, o których Piłsudski tutaj mówi, że Polacy głośno o nim „paskudztwa“ nie powiedzą! Nie był jeszcze wtedy dość wielkim, nie „zasłużył się — jeszcze — dobrze Ojczyźnie“, jak to Sejm ustawodawczy stwierdził, nie obronił Polski przed zgubą.

Wielkość — a za nią „paskudztwa“ rodaków przysły później...

W innych narodach rzadko zdarza się takie nagromadzenie sprzecznych sądów o „bohaterach narodowych“, jak u nas, o ile chodzi o Piłsudskiego. Skala różnic jest tu olbrzymia. Od bezgranicznego uwielbienia zwolenników aż do czarnej nienawiści wrogów, od najczulszego przywiązania aż do pogardy i strachu; wszystkie uczucia otaczają jego osobę w narodzie. Ale też i sam nie jest człowiekiem uczuć umiarkowanych.

W czym leży wielkość Józefa Piłsudskiego? Najpierw w tem, że jest samotnym. Już „rasowo“ jest we właściwej Polsce odosobnionym. Jest nie tylko „kresowcem“, a więc znacznie energiczniejszym, uczuciowo bogatszym, historycznie bardziej uświadomionym co do roli i znaczenia Polski w świecie, ale nadto pochodzi z rodziny rasowo obcej, jakichś kniaziów, jakichś Jadźwińgów, którzy weszli w organizm narodu polski z dziedzictwem odległych wieków, różnem od polskiego. Krewnych w Polsce rdzennej nie ma. Uwagi o tym spadku rasowym mogą się wydać ciemne i niezrozumiałe. Psycholog będzie je jednak cenił.

Piłsudski jest samotnikiem. Osamotnienie duchowe może człowieka stępić, ale może także rozwinąć ducha do najwspanialszej potęgi. Samotność silnej duszy zmusza do szukania innych miar zjawisk, niż zwyczajne, pozwala zapominać o bieżącej fali zjawisk, wyprzedzać ją, dokończyć jej biegu

i — prorokować. Prorok musi odosobnić się, musi zatkać uszy i oczy na zgiełk codzienny i widzieć nieskończenie dalej. Piłsudski otoczony przed laty w P. P. S. towarzyszami i przyjaciółmi jest w gruncie rzeczy mocno osamotniony. Z konieczności zajmuje się obmyślaniem różnych „akcyj“, wymagających tajemnicy bezwzględnej, pod grozą nieudania się i klęski. Drukowanie konspiracyjne *Robotnika*, urządzanie jego zabronionego kolportażu, transportów „bibuły“ rewolucyjnej z zagranicy do Polski, stworzenie „Organizacji Bojowej“ P. P. S. i kierowanie jej „akcjami“, przemycanie broni przez granice, to wszystko wymagało przewidywania przyszłości, liczenia się z czynnikami potężnymi i złożonymi. Pomyłka mogła tu często oznaczać — śmierć. Jazdy konspiracyjne po Rosji, wieczne pseudonimy i fałszywe dowody osobiste, sztuka nawleknięcia na siebie jakiejś innej, obcej postaci, czyniły go w morzu ludzkim straszliwie samotnym człowiekiem, zdany na swój spryt, na swoją własną zdolność. Wielu ludzi pogłębiało się w takim życiu. Wczesne wygnanie na Sybir, więzienie w Cytadeli warszawskiej, gra straszliwa z rządem rosyjskim zapomocą udanego obłądu, pobyt w domu obłąkanych w Petersburgu, to także czasy mało, bardzo mało „towarzyskie“.

Dla zrozumienia mocy Piłsudskiego w samotnej celi X. pawilonu Cytadeli, kiedy wedle wskazówek fachowców psychiatrów udaje tygodniami obłąkanego, wystarczy uprzytomnić sobie, co by to znaczyło dla codziennego człowieka?... Znam taki wypadek z opowiadań Świrskiego (uwięzionego za Bezdany), który nie mówił wcale, nie odpowiadał ani słowem na wszelkie zapytania żandarmów, dozorców i t. d. Otóż Świrski doszedł do takiej rozpacz, że podczas głębokiej nocy, zakrywszy głowę kocem więziennym, szeptał sam do siebie aby nie pozbyć się naprawdę funkcji mówienia, nie oszaleć naprawdę. Piłsudski również opowiadał, że udawanie obłąkanego postawiło go na skraju jakiejś duchowej przepaści, że tak wkońcu osłabł, iż zaniechał udawania (polegającego na wykazywaniu manji prześladowczej, obawy otrucia przez żandarmów). Później dowiedział się, że fachowcy wła-

śnie tę pauzę w objawach manjackich uznają za zjawisko normalne w tej chorobie...

Do takiej szalonej gry potrzeba samotnikom siły i jeszcze raz siły. Ona to uratowała go później przez umożliwienie ucieczki z szpitala wojskowego w Petersburgu.

A bojowe akcje, jak „Krwawa Środa“ lub zamach na obsadzony wojskiem pociąg w Bezdanach, ileż natężenia myśli planującej, ile przewidywania wypadków w sobie mieściły!

Po rozłamie w P. P. S. w 1906 r. Piłsudski żyje w Krakowie i Zakopanem w osamotnieniu lata całe. Grzebie się w dziejach wojen, głównie wojny rosyjsko-japońskiej. Otoczenie jego nie ma o tych sprawach pojęcia i powtarza z namaszczeniem strzępy jego myśli, rzucane w rozmowie.

Jeden przykład: Zdumiewająco małe straty od strzałów artylerji w wojnie japońskiej wywołały chwilowo w umyśle Piłsudskiego jakby lekceważanie tej broni. Otóż zabawną rzeczą było słyszeć w pewnym czasie zgiełkliwe rozumowania różnych „strategów“ strzeleckich na temat artylerji. Były to kpiny z rzeczywistości tem udatniejsze, że strzelcy nie mogli marzyć o armatach.

Zaczyna się plan konspiracji wojskowej, pozornie szalony i niemożliwy. Ale w „Związku Walki Czynnej“ zmusza Piłsudski ludzi do wykonywania tego planu. Wzrost nakreślonych w planie czynności skłania go do ujawnienia całej roboty pod postacią „Związku Strzeleckiego“, będącego później jawnym wyrazem „Polskiej Organizacji Wojskowej“ (P. O. W.) tego pomysłu nie do wiary, bo obejmującego w sobie zakonspirowane w granicach caratu wojsko polskie, liczące z biegiem czasu kilkadziesiąt tysięcy ludzi! Dwudziesty wiek nie zna czegoś podobnego w Europie. P. O. W. nie była bowiem wielotysięczną bandą, lecz organizacją bardzo ścisłą i prawidłową. O „peowiaków“ cnotach najgłębszego poświęcenia dla sprawy wyzwolenia Polski zbrojną ręką, mówią nawet przeciwnicy z szeregów zakamieniałej w konserwatyzmie i niewierze w Polskę szlachty kresowej. Polacy nie wiedzą

do dziś dnia niczego — albo bardzo mało — o tej najciekawszej z prób „tajnego wojska“ polskiego.

Wszystkie te idee tworzy Piłsudski sam, w odosobnieniu duchowym, mając przeciw sobie na każdym kroku powszedniość polską. Konspiracyjność bojowa P. P. S., w której łonie wyrastał, dodawała mu wprawdzie rozmachu, ale należy zważyć, że P. P. S. przeżyła w 1905 r. — właśnie w czasie rewolucji — zmiany w kierunku stępienia rewolucyjności polskiej, bo ci, którzy dostali się wówczas do steru, porzucili bojowe hasło walki z caratem o niepodległość Polski, zwężili i osłabili rozmach walki. Aby wyostrzyć miecz w ręku rewolucyjnej Polski, uzyskuje Piłsudski jaknajwiększą samodzielność w łonie nowej P. P. S., owej „Fracji rewolucyjnej“, która odeszła od późniejszych komunistów, słuchających dzisiaj rozkazów Moskwy. P. P. S. go uznaje za swego wodza, rozumie i popiera jego plany wojenne, ale nawet od P. P. S. wyodrębnia się Piłsudski rok za rokiem, aż wkońcu opuszcza jej szeregi w 1914 r. z początkiem wojny światowej. Nie przeciwstawia się jej, lecz opuszcza ją, pozbawiając się jakiegokolwiek oparcia o stronnictwo. Lepiej mu być samotnym. Obojętną rzeczą, czy należy go za to chwalić, czy ganić. Było to jego koniecznością.

Tworzy się w sierpniu 1914 r. „Naczelny Komitet Narodowy“ (N. K. N.), coś w rodzaju politycznego oparcia dla wojska polskiego. Piłsudski nie porzuca jednak swego osamotnienia. Poprzez intrygi, komeraże, toasty i listy, wymieniane z N. K. N., Piłsudski idzie swoją drogą i doprowadza do jawnej scysji już w 1915 r. N. K. N. werbuje w zgodzie z Niemcami, którzy oczekują od Polski niecierpliwie [bodaj kilku „pomocniczych“ dywizyj. Piłsudski zakazuje werbować do Legionów, aby nie dawać krwi polskiej bez żadnych zobowiązań i zapewnień politycznych, bez formalnej woli przedstawicielstwa narodu. Departament Wojskowy N. K. N., z p. Władysławem Sikorskim na czele, wysila się na politykę wedle wskazówek i życzeń „mocarstw centralnych“, ale Piłsudski

obala to wszystko i dostaje się w rezultacie... do więzienia, do dalszego osamotnienia w Magdeburgu.

Wraca do wolnej już od najeźdźców Polski i zaszywa się w skromnym letnim domu, w Belwederze. Belweder to samotnia, położona na krańcu stolicy, w lecie pełna komarów, wylęgających się w bagnie niezdrowych Łazienek, w zimie zasypane śniegiem pustkowiem. Naczelnik Państwa odcina się od głównego miasta, od stolicy. Warszawa cywilna, miasto niepolityczne, niewiedzące, co zrobić z trzema, czy czterema zaborami, które do niej muszą przyjeżdżać za interesami, dla geszeftu lub zabawy, — nie zna Piłsudskiego, nie lubi go i robi o nim najgłupsze plotki, istne „bujdy na resorach“ — wedle słownika legionistów. Jedni robotnicy, młodzież i garść inteligencji go uwielbiają, ale do robotników nie zbliżył się Piłsudski jako Naczelnik Państwa. Nie widywali go bliżej, choć kochali i tak. Belweder był przez całe cztery lata kwaterą wojskową; cywilny człowiek był tam intruzem, czemś lichszym, bo mógł przynieść coś, co nie było związłym mel-dunkiem wojskowym. Pierwsze dwa lata życia w tej samotni były wojenne, ale stan rzeczy nie zmienił się i w czasie pokoju. Odpowiadało to wielkiemu samotnikowi, a wszelki wyjazd do ludzi — nie żołnierzy — był odczuwany jako ciężar. „Życie“ potęgowało się tutaj w nocy, po dziesiątej godzinie aż do białego ranka. W owych nocnych godzinach czarował Piłsudski swoich nielicznych gości opowiadaniem z własnych przeżyć, opisami ludzi, rzeczy, kraju i walk stoczonych. Jest to niezwykle, wrodzony talent naracyjny, pełen obiektywizmu i humoru, a humor jest pewnego rodzaju odpowiednikiem tragicizmu. Słuchając Piłsudskiego w owych cichych godzinach, przy mocnej herbacie, można było zapomnieć o świecie, o czasie... Dopiero świt przypominał bladym blaskiem o tem, że minęły godziny, przez innych snowi poświęcane.

Konstytucja polska uczyniła Prezydenta Rzeczypospolitej uroczystą postacią reprezentacyjną bez żadnej władzy. Możeby ta konstytucja była inną, gdyby nie wielkość Piłsudskiego. Był w Sejmie przez socjalistów polskich stawiany i popierany

wniosek, aby wybór Prezydenta odbywał się przez cały naród, podobnie jak w Stanach Zjednoczonych. Dałoby to Prezydentowi jako władzy wykonawczej wielką siłę, wpływ i znaczenie w konstytucyjnym życiu Polski. Wniosek ten upadł ogromną większością, bo „narodowe” partje lękały się jak ognia myśli, że Piłsudski byłby wtedy olbrzymią większością wybrany Prezydentem w bezpośrednim głosowaniu mas ludowych; wierzyły te partje niezłomnie w jego potężny wpływ w społeczeństwie i bały się go, jako nie „swojego człowieka”, a tak wielkiego, że nie było mowy o nagięciu go do swoich politycznych i społecznych celów. Wybrano więc skwapliwie drogę inną: odebrano w przepisach konstytucyjnych Prezydentowi wszelką władzę, nawet takie zasadnicze prawo, jak rozwiązywanie Sejmu, co prowadzić może wprost do marazmu życia parlamentarnego. Czegoś podobnego niema w żadnym państwie, gdzie demokracja wymaga z natury rzeczy silnej władzy wykonawczej, stojącej przed Sejmem z powszechnego prawa głosowania, aby nie stać się igraszką losu na wypadek, gdy w Sejmie niema określonej jasno większości, co bywa u nas regułą od lat sześciu...

Ten fakt jest jednym tylko z całego szeregu innych, o których piszę poniżej.

Piłsudski wyciąga z tego konsekwencje, rezygnuje z ubiegania się o prezydenturę i wkrótce wyjeżdża do małego dworku na wieś. Pustelnia staje się jeszcze ściślejszą.

Szkic ten nie może wdzierać się zbyt natrętnie w procesy duchowe wielkiego człowieka, wskazując na istotne jego osamotnienie duchowe przez lat dziesiątki. Fakta przytoczone powinny wystarczyć. Nie przeszły bez śladu lata tajnej konspiracji, w których walczył z losem przeciwnym i starał się o poprawienie stosunków w Polsce. Gra konspiracyjna nie ustaje; kombinacje jej pociągają Piłsudskiego jak ciekawe zadanie szachowe. Konspirował całe życie, obliczał przyszłość i choć się nieraz pomylił, wracał do swoich kombinacyj z uporem samotnika.

Osamotnienie i zamknięcie się w sobie może być równie

dobrze oznaką siły, jak i słabości. Mnóstwo ludzi słabych szuka w samotności ucieczki z wiru życiowego. Ale Piłsudski prowadził w tej ciszy najszałejszą walkę, na jaką zdobyła się jednostka. To nie była ucieczka od przykrości, to było gotowanie i obmyślanie najcięższych niebezpieczeństw i trudów dla siebie i drugih.

Piłsudski walczy z ludzkim strachem przed śmiercią i pokonuje go. Jest to znamię wielkości w pewnych warunkach. Pokonuje śmierć najskromniejszy żołnierz w bitwie. Lekceważy ją górnik, lotnik, marynarz, kolejarz i t. d. Ale ci nie idą po nią dobrowolnie, nie szukają jej z inicjatywy własnej, nie grają nią z losem, któremu chcieliby swoją wolę narzucić! Piłsudski przewiduje drogi śmierci dla siebie i drugih i stara się ją unicestwić w walce wręcz, lub podstępem prowadzonej. Ryzykuje szubienicę nie raz, lecz wiele razy; idzie w obóz nieprzyjaciela bezbronny ale za to pewny, że zapłaci życiem, gdy go schwytają. Było to ogólne ryzyko pracy rewolucyjnej, ale nawet tam, gdzie go nikt nie spodziewał się zobaczyć przy „robocie”, np. w Bezdanach, ryzykuje życie, ażeby jego podkomendni nie sądzili, że gardzi robotą, na którą ich wysyłał. Co prawda także, aby przysporzyć organizacji środków, zdobytych na wrogu. Szeregi P. P. S. wydały mnóstwo takich ludzi nieustraszonych (Okrzeja, Szulman i inni), idących na pewną niemal śmierć z polecenia partji i z własnego głębokiego przekonania, że ofiary takie są konieczne. Piłsudski składa hołd bojowcom, idąc z towarzyszami (Gibalski, Świrski, towarzysza Ola i inni) na „eksproprijację” mienia rządu rosyjskiego pod Bezdanami, jak Mirecki pod Rogowem i wielu, wielu innych socjalistów polskich.

Jako żołnierz, nie chce słyszeć o tem, żeby się oszczędzać. Pamiętną dla wielu pozostanie scena z pewnego uroczystego wieczoru w Wiedniu, kiedy znakomity pisarz polski i podwładny Piłsudskiego, Gustaw Daniłowski, w publicznej przemowie zaklinał go, aby się oszczędzał. Było to w jesieni 1914 r.; Piłsudski był dopiero dowódcą pułku. W gwałtowny, nawet nieco brutalny sposób zgromił swego oficera za to, że się

ośmielił na podobne przestrogi. Zachowa się tak, jak mu ranga i związany z nią obowiązek nakażą! A dwa lata potem na reducie zwanej potem „Redutą Piłsudskiego“, w straszliwym upale letnim, pójdzie Piłsudski na okop zasypywany huraganem pocisków rosyjskich, siądzie spokojnie wśród mdlejących od pracy żołnierskiej swoich „dłubinosków“, zdejmie czapkę i zapyta wesoło, czy nie ma kto wody do napicia się... Pokonał lęk śmierci w duszach, choć jego najukochańsi ginęli gęsto. Ich ubóstwiany „Komendant“ z nimi, twarz jego miła, słowa swobodne; jakże tu lękać się śmiertelnych pocisków, chmarami lecących, zasypujących ulewą żelaza, gazami i ziemią?... Albo ów sławny marsz z pod Uliny Małej do Krakowa! Otoczony ze wszystkich stron przez armję rosyjską, nie podejrzewającą szaleństwa polskiego wodza i jego oddziału, idzie Piłsudski w pamiętną noc na czele, wiedząc przez godziny całe, że śmierć dokoła.

„Wściekły ryzykant“ — mówił o sobie Piłsudski, i słowa te były prawdą, szczerą nie raz, a setki razy. Gra konspiracyjna i ryzykanctwo, złęczone z szaloną odwagą, to dwie właściwości, związane z duchową postacią Piłsudskiego tak ściśle, że czasami strach ogarnia na myśl, że mogłyby one przyczynić wiele złego na świecie, gdyby ich w niewłaściwym czasie i z niewłaściwym przedmiotem gry użyto. W przeciwstawieniu do ryzykantów ludzie roztropni zwykli żądać „gwarancyj“, a Piłsudski nie widział ani dla rewolucji, ani dla Polski, ani oczywiście dla siebie, żadnych gwarancyj, żadnej pewności powodzenia. Kiedy na dwa dni przed wyruszeniem „kompanji kadrowej“ z „Oleandrów“ krakowskich, na naradzie notablów partyjnych w Krakowie Dr. Leo żądał od cesarza Franciszka Józefa, czy od Austrii, — gwarancji, że zbrojny ruch polski dojdzie do zwycięstwa, t. j. do powstania Polski, wówczas Piłsudski zauważył, iż sama Austrija w wojnie światowej nie ma żadnej gwarancji wygranej. Cóż więc za gwarancji może udzielić Polakom? To samo zresztą można było wówczas powiedzieć o Rosji, czy Niemcach. Ryzyko, które nie ma powodzenia, staje się przedmiotem jednogłośnego osądu.

Najgłupszy, najtchórzliwszy mówią wówczas, że przewidywali pewną klęskę, chociaż przewidują ją i przy ryzyku, uwiecznionem najświetniejszym triumfem. W normalnem życiu narodu jest ryzyko często wielkiem niebezpieczeństwem. Ale Polacy mogą sobie łatwiej, niż inne narody, uprzytomnić, że w młodem życiu ich państwa mogą nadejść położenia, w których naród, chcąc się obronić, będzie musiał zaryzykować wszystko. Można nawet ogólnie stwierdzić, że kto w pewnych razach nie jest gotów umrzeć w obronie życia, tego życie jest mało warte. Jednostka, czy zbiorowość narodowa temu prawu podlegają. Ale jakże trudno je uznać wśród życia powszedniego. Jak niemiłym i niewczesnym jest człowiek, który to narodowi mówi, lub życiem swem narzuca.

Nic dziwnego, że naród „kamieniuje swoje proroki“. Pewien przekorny angielski pisarz mówi, że naród „oszukuje proroków“. Na jedno wychodzi. Naród czci i przeklina równocześnie proroków za to, że mu przepowiadają zgubę i czynią to w czasie „niewłaściwym“, t. j. kiedy ludzie roztropni zguby jeszcze wcale nie widzą... W normalnych czasach ludzie lubią ryzyko w grze, w geszeftach, w miłości, w sporcie i t. p. Ale jest ono małe, głupie, nie robiące żadnego wrażenia na dalsze otoczenie. Cóż to ma za znaczenie, że się biedak jaki z miłości otruje, albo cymbał jaki połamie kości w biegu automobilowym? Ale gdy „palec boży“ dotknie kraj (wyrażenie Piłsudskiego w odczycie o r. 1863), gdy idzie gra epokowa o „być lub nie być“ dla milionów ludzi, wówczas ryzykować jest zaiste rzeczą groźną i wspaniałą.

Miał taką chwilę Piłsudski w dniach sierpniowych 1920 r., gdy opuszczał 12 sierpnia w nocy Belweder, aby pojechać do Puław i uszykować cztery dywizje między Wisłą a Wierpem w celu uderzenia na północ i rozbicia armji rosyjskiej. Wziął to ryzyko olbrzymie, decydujące, sam na siebie, aby zadać cios stanowczy, rozstrzygający o całej kampanji. „Byle Warszawa zachowała się przez kilka dni spokojnie“ — to było wszystko, co przy rozstaniu powiedział panom ministrom.

A kiedy jeden z nich zwrócił mu cicho żartobliwą uwagę, że zaczyna akcję feralnego dnia 13, odpowiedział skwapliwie, że właśnie trzynastka jest jego dniem „życzliwym“. Było w tem zdaniu coś trącającego przesądem, ale któż z wielkich ryzykantów świata nie był przesądnym? Psycholog zrozumie to kokietowanie z zabobonem. Roztropni ludzie uśmiechną się z wyższością...

Znamieniem wielkości Piłsudskiego jest niebywała zdolność znoszenia przeciwności i najczarniejszej niewdzięczności. Całe jego życie wskazuje, że rósł „z tego co boli“. Prześladowania, jakie znosiła jego rodzina szlachecka i całe jej otoczenie na Litwie za czasów Murawjewa-Wieszatiela, były pierwszym przeżyciem dziecka. Młodość najwcześniejsza, to znów prześladowania. Brata, Bronisława, zsyłają na 15 lat na Sachalin, skąd wraca osiwiałym, rozbitym człowiekiem. Jego samego skazują bez winy na pięć lat Sybiru. Każde upokorzenie boli i piecze tego dumnego człowieka. Biją żołdacy buntujących się zesłańców... Kto nie spodlił się pokorą, ten stać się musiał tem dumniejszy, tem odporniejszy duchem. W wagonie kolejowym jedzie młody Piłsudski z rewolucjonistą rosyjskim. Rosjanin narzeka na odporny nacjonalizm Polaków wobec rewolucjonistów rosyjskich, wyciągających rzekomo dłoń braterską do tych niewdzięcznych buntowników polskich. „Widzi pan — odpowiada Piłsudski — to nie tak trudno zrozumieć. Dotychczas braterstwo między nami odbywało się w ten sposób, że pański dziadek powiesił mojego dziadka, a pański ojciec wygnał na Sybir mojego...“.

Nędza nieopisana życia rewolucjonisty polskiego, niedostatek, brak dachu nad głową, stan ściganego dzikiego zwierzęcia, ciągłe zdrady i prowokacje, walka z małością ludzką, tępość i upodlenie społeczeństwa podbitego i ujarzmionego, nieustający tragizm kontrastu duchowego między garścią walczących o wolność a olbrzymią liczbą niewolników duchowych, ironja stosunku małości środków do wielkości celów, to wszystko znane tak dobrze socjalistom polskim, odbijało się piekłem w duszy Piłsudskiego. A jednak niema w niej

momentu poddania się, niema zgody z „warunkami“ ekonomicznymi, czy politycznymi. Ukochana przezeń partja, której poświęcił życie splecione z męki, powstaje w latach 1905 i 1906 przeciw niemu. Za bojową działalność, za dążenie do niepodległości Polski, oskarżają go towarzysze, którzy mają chwilowo większość w centralnych ciałach i na Zjeździe partyjnym. Kiedy na lwowskim Zjeździe P. P. S. w styczniu 1906 r. przemawia, jedna z towarzyszek (dzisiaj znana komunistka) posyła w tłum delegatów karteczkę z napisem: „Nie dawać oklasków!“, bo lęka się, że mowa Piłsudskiego przekona i porwie większość... W jesieni na Zjeździe wiedeńskim następuje rozłam w P. P. S. Olbrzymia robota dotychczasowa pęka i załamuje się. Piłsudski cierpi jak potępieniec, ale pracy nie rzuca.

Wydobył się wreszcie z codziennej „nielegalności“, zamieszkałszy w Krakowie, w dwóch pokojach o pożyczonych tandetnych meblach. Zaczyna tworzyć „polskie wojsko“, swój „Związek strzelecki“. Wówczas Warszawa narodowo-demokratyczna odzywa się na swój sposób. Zygmunt Balicki pisze w *Tygodniku Narodowym* artykuł, że „Strzelców“ stworzył szpieg austriacki, pułkownik Redel (równocześnie szpieg rosyjski, któremu rząd austriacki po wydaniu się tego skandalu kazał się otruć). Argumentem głównym artykułu były słowa „wróble na dachach o tem mówią“... Niedawno jeszcze Roman Dmowski nazwał Piłsudskiego „szlachetnym socjalistą“, a teraz „wróble na dachach“ udowodniły, że jest to pomocnik szpiega Redla...

Odtąd niema dość wstrętne błota, któremby Piłsudskiego nie obrzucali „rodacy“. Przez dwa dziesiątki lat lżą i oczerniają, pomniejszają, przekręcają, obrabowują z honoru obelgami, lub czemś znacznie gorszem, bo insynuacjami, przypisującymi mu najczarniejsze, najnikczemniejsze zamiary i plany. Wszystko, co nie wierzyło w niepodległość lub jej nie chciało, wszystko, co lękało się samodzielnego ryzyka polskiego, a to była i jest olbrzymia większość opinii polskiej, zwalczało Piłsudskiego. Nikt tak nie usiłował dopiec, doku-

czyć Piłsudskiemu przez dwa dziesiątki lat, jak Polacy.

Gdybym chciał przejść szczegół po szczególe to polskie „mordowanie proroka“, świat by się wzdrygnął ze wstrętu. Obcy nie mogą tego zrozumieć — u siebie mordują swoich proroków, — swoi nie obejmują nawet setnej części tego dziwnego, a tak w Polsce niedziwnego, zjawiska...

Wezmę tylko kilka wybitnych epizodów tego „krzyżowania“ wodza polskiego. Piłsudski stworzył polską siłę zbrojną. Różni mali ludzie usiłują temu zaprzeczyć. Nie wchodzę tutaj w te głupstwa, bo zbyt łatwo je obalić.

I oto w chwili, gdy ta siła zbrojna ma w r. 1914 wyruszyć w pole, zabierają mu dwie trzecie, jeżeli nie trzy czwarte jego żołnierzy i posyłają na Węgry, lub zdradą rozpraszają po całym kraju na poniewierkę. Wskutek nalegań arystokracji polskiej i narodowej demokracji dwa pułki legionowe muszą iść na Węgry, byle tylko nie walczyły na polskiej ziemi i nie „kompromitowały“ Polaków. A 5.000 młodzieży, prowadzonej przez pp. hr. Skarbka i Cieńskiego aż ze Lwowa, rozproszyli obaj ci panowie intrygą i propagandą (nawet z ambony) w Mszanie Dolnej, na głód i uragowisko wyłapujących ich potem po całym kraju żandarmów, aby dopełnili obowiązku służby wojskowej w szeregach austriackich.

Z 10.000 żołnierzy zostało Piłsudskiemu 3.000.

Nie powierzają mu dowództwa naczelnego Legionów, lecz ubierają w nie starych generałów austriackich, ambitne austriackie zera. Jenerałowie B a c z y ń s k i (Rusin), D u r s k i (starzec), Puchalski (oddał potem bez powodu Przemyśl Rusinom), Szep-tycki, są „Poniatowskimi“ w legionowej gwarze, pełnej sarkazmu i bolesnych drwinek.

Jacyś Grzesiccy (ograniczony pułkownik austriacki), jakieś Küttnerzy (zmarnował pod Rokitną szwadron Wąsowicza), jacyś Zalescy (mówił tylko po niemiecku), pod patronatem wysłannika sztabu austriackiego rotmistrza Zagórskiego, przy pomocy czynnej pułkownika Władysława Sikorskiego, wówczas szefa Departamentu Wojskowego N. K. N., marnowali nietylko

fizycznie, lecz przede wszystkim m o r a l n i e potęgę legionową. Nie znam większych męczarni duchowych nad te, które musiał przez lata znosić Piłsudski, patrząc na szarganie, upadlanie, unicestwianie złośliwe i małoduszne swego wspaniałego dzieła, swojej pracy i wysiłków tak ciężkich i trudnych a nadto widząc nieraz haniebne marnowanie życia legionistów.

Czyż mogło być dostateczną dlań pociechą, że tłum ludu krakowskiego szalał w listopadzie r. 1916 z radości, gdy zobaczył Piłsudskiego w uroczystym pochodzie, ciągnącym do katedry wawelskiej? Szli tam w długim szeregu różni ludzie „wielcy“, popularni, ozdobni szatami wspaniałymi, ale tłum nie znał i nie chciał znać nikogo, tylko Piłsudskiego. Można było każdej chwili wiedzieć, gdzie on, bo tam szalał huragan radosnych okrzyków i oklasków. Ale był to czas, gdy Piłsudski musiał rzec się swoich kilku pułków i siedział w Krakowie... Radość ubogiej masy, rzucającej mu serca pod nogi, nie mogła zmienić tragedji Legionów, tragedji osobistej Piłsudskiego.

Nie opisuję samych dziejów legionowych, bo nie podobna zbyć wzmianką tysiąca szczegółów, które streszczały się w ciągłym upośledzeniu, okradaniu ze sławy krwią zdobytej, a najbardziej w dziwnej roli zasadniczej Legionów, tego wojska bez państwa, tych żołnierzy polskich bez Polski, rzuconych na ofiarę, zdawało się, nikomu nie potrzebną, tych dumnych ludzi upokarzanych przez ludzi małych. Dwa z górą lata aż do jesieni r. 1916 bije się i męczy wojsko legionowe. Wówczas Piłsudski uwalnia się z pod opieki austriackiej, wojsko jego „przeformowują“ Niemcy.

W rok później zaczęli Polacy pod komendą niemiecką łąmać i rozbijać formacje legionowe. Przysięga wierności dla okupantów stała się murem, o które rozbiły się polskie pułki. „Królewiaczy“ poszli za druty do Benjaminowa, Szczypiorny i ohydnych pruskich obozów dla jeńców, „Galicjanie“ przed druty okopów włoskich w Trydenckiem. Został „Korpus posiłkowy“ z rządami Zagórskich, Ganczarskich i Sikorskich, którzy kierowali pocziwym jenerałem Zielińskim. Przyszły procesy w Przemyślu (Zaruski i towarzysze), Rarańcza i Huszt...

Ale Piłsudski siedział już w więzieniu w Magdeburgu, odcięty od kraju, sam ze swoją własną męką...

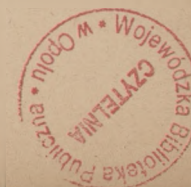
Znów obróciło się koło losu. Wprost z więzienia wraca do Warszawy, gdzie strach i poczucie nieudolności „Regentów” oddają mu pełnię władzy cywilnej i wojskowej. Wybrany przez Sejm ustawodawczy Naczelnikiem Państwa i Naczelnym Wodzem, rozpoczyna najcięższy, najbardziej pełen cierpień okres „władzy” w Polsce. Oryginalny to „władca”, któremu każdy drab dziennikarski może bryznąć codziennie w oczy obelgą lub oszczerstwem niesłychanym; przeciw któremu jawnie urządziła frondę marszałek sejmowy, wysilający się w prywatnych rozmowach na najdziksze obelżywe wyrazy o Naczelniku. Posłowie polscy zagranicą, których nominacja nosiła podpis Naczelnika, mówią o nim jako o „bandycie”. Sejm miesza się do jego działań wojennych. Warszawa, podburzana przez ludzi typu Korfanteo, wyje z powodu rzekomo zaniedbanego i opuszczonego Lwowa, dając sama 300 ochotników, co na milionowe miasto jest śmiesznym nonsensem liczbowym, bo mały Kraków czy Lwów dały do legionów 20, 30 razy tyle młodzieży. Wstręt i obrzydzenie wzbiera, gdy się odświeża w pamięci te niedawne czasy. Do tego dodać należy nieudolnych, jawnie frondujących, generałów tak rosyjskich, jak austriackich, wcielonych do polskiego wojska, brak uzbrojenia, lub oręż nawpół zepsuty, sprzedawany łaskawie Polsce, aby, zsumowawszy to wszystko, otrzymać w rezultacie obraz piekła.

Nie oszczędzają „rodacy” i życia prywatnego swojego „władcy”. Warszawa, żyjąca od pół wieku plotką tylko o władcach, — tą pociechą niewolników — Warszawa z autokracją towarzyską kobiet, mistrzyń plotkarstwa, „miasto teatralne”, bo niestety niczem innym do niedawna być nie mogło, ta Warszawa plotkuje, bawi się i oburza moralnie nazwiskami rzekomych kochanek Naczelnika, jakoby zaludniających małeńki i ciche Belweder! Arystokracja, kler, drobnomieszczaństwo — bo wielkiego mieszczaństwa Polska nie ma — urzędnicy więksi i mniejsi lżą Naczelnika, nie krępując się niczem.

Wszak nie zaskarży do sądu, wszak nie będzie szukał pomsty, a nie potrzebuje zadośćuczynienia... Czasem gdzieś ktoś kogoś uderzy po pysku, stając w obronie honoru „Komentanta”, ale to nikłe epizody, za które zresztą bijący zawsze bywa zasądzony, a obity gloryfikowany. Na tem tle powstają hecarze pióra, lżący na wyścigi, rzucający coraz grubsze bryły błota na Naczelnika Państwa i Naczelnego Wodza, i to w czasie trwania wojny, bo oręż polski nie spoczywał od listopada 1918 aż do października 1920 r. Znów nie myślę grzebać się w szczegółach tej ohydy; cuchnie jeszcze, bo świeża...

Ile zdolności cierpienia, ile wytrwałości niezłomnej trzeba było aby przez to błoto przebrnąć i nie rzucić olbrzymiej sprawy: ufundowania państwa polskiego. Piłsudski tę zdolność okazał. A i tego pominąć się nie godzi, że „rodacy” biegną skwapliwie do każdego cudzoziemca, aby mu nagadać jak najwięcej niestworzonych rzeczy na swego Naczelnika Państwa. P. Mazière napisał o tej ohydzie całą broszurę, stawiając pod pręgierz tych Polaków bez godności i wstydu.

Wreszcie nadchodzi — po klęskach lata 1920 r. — decydujące zwycięstwo. Chwała ogromna, triumf zupełny. Wróg rozbity, Polska wolna, Europa uwolniona od zmory „czerwonej armii”, pojącej konie w Renie... Drugi Grunwald w swych dalekosieżnych skutkach. Ale „rodacy” czuwają. Pan marszałek Trąpczyński i pan hr. Adam Zamoyski ustawiają na podwórku pałacu Krasińskich w Warszawie parę tuzinów kobiet arystokratycznych, aby oczekiwać wyjścia zwycięzcy. Wychodzi oto triumfator, nie Piłsudski, lecz generał francuski Weygand. Reżyserowie dają znak; kobiety klękają na bruku podwórca i całują ręce właściwemu „zwycięscy”, bo przecież niepodobna, żeby tym zwycięscą był Piłsudski. A równocześnie w zgromadzeniu Chrześcijańskiej Demokracji przemawia znany w Warszawie kanonik do kilkudziesięciu zebranych. Nazywa Piłsudskiego „podłym tchórzem i zdrajcą”. Do tego należy dodać wiadomość „pikantną”: „cała Warszawa” zajęta była aktualną wieścią, że adjutant Naczelnika major Wieniawa



Długoszewski porozumiewa się z bolszewikami po drucie, ciągnącym się z Belwederu do podziemi soboru na Saskim Placu...

Nie wdaję się w rozpatrywanie zbawczego planu generała Weyganda, bo plan ten nigdy nie był wykonany. Armja polska wykonała plan Piłsudskiego i zwyciężyła. Szlachetny generał Weygand sam wielokrotnie przeczył publicznie, jakoby wedle jego planu zwyciężyła.

Kiedy agitacja polska usiłowała go skompromitować w oczach porządných ludzi i fachowców swoimi pochwałami i wmawianiem weń, że to on zwyciężył bolszewików, wówczas oświadczył: „zwycięstwo to jest zwycięstwem polskiem; przewidywane operacje wojskowe zostały wykonane przez generałów polskich według polskiego planu operacyjnego“. Nie można chyba mówić wyraźniej. Nic nie szkodzi. Gdyby generał Weygand mieszkał w Polsce, co roku Polacy szliby 15 sierpnia do jego drzwi i co roku całowali by go po rękach za to, że to on, a nie Piłsudski zwyciężył... Ale ponieważ jen. Weygand mieszka we Francji, więc obmyślono „Cud nad Wisłą“, zrobiono po kolei jen. J. Hallera, Sikorskiego, ks. Skorupkę, a wreszcie Matkę Boską zwycięzcami, byle tylko nie zawdzięczać Piłsudskiemu ocalenia, choć laik każdy łatwo może zrozumieć istotę tego ocalenia, jego przebieg wojenny i jego doniosłość. Różnica między projektami francuskimi a polskimi leżała — między innymi — także w tem, że Francuzi proponowali opuszczenie Wschodniej Galicji aż po linię Sanu. Zgadzało się to z politycznym zamiarem pozbycia się kłopotu dyplomatycznego jaki miała wtedy Francja i Anglja z Galicją Wschodnią. Rezerwowano ją po cichu dla przyszłej „odrodzonej“ Rosji... Piłsudski nie chciał Lwowa opuszczać. Wojskowe zaś znaczenie Lwowa w owej decydującej chwili leżało w tem, że armia Budjennego straciła właśnie pod Lwowem owych kilka dni, w ciągu których odbył się pod osobistą komendą Piłsudskiego piorunowy marsz czterech polskich dywizyj na północ i przecięcie armij rosyjskich. Budjenny po niewczasie rzucił się ku północy, aby runąć na

tyły tych dywizyj, ale było już zapóźno. Pobity pod Zamościem, uciekł na wschód. Gdyby Galicja Wschodnia była nieobsadzona polskiem wojskiem, Polacy przegraliby całą kampanję, a wycofując się z pod Lwowa, przegraliby politycznie zgóry Wschodnią Galicję i Lwów. Zdawałoby się, że „narodowe“ stronnictwa polskie powinnyby właśnie za to wielbić Piłsudskiego, że planu francuskiego nie usłuchał i z Galicji Wschodniej się nie wycofał! Zamiast pochwał jednak wysilili się „narodowi“ Polacy na niesłychane obelgji, na publiczne wyzwiska, na błazeństwa w rodzaju całowania rąk... jen. Weygandowi... Pytam, gdzie na świecie jest wódz, któremuby w podobny sposób dziękowali „wdzięczni rodacy?“... Jakiegoż piołunu jeszcze potrzeba, aby napoić goryczą człowieka?

A kiedy Piłsudski uchyla się od roli niewdzięcznej Prezydenta Rzeczypospolitej, kiedy cofa się w zacisze domowe, wówczas skrytobójca „narodowo-demokratyczny“ Niewiadomski — wedle swego zeznania w sądzie — zamierza go trupem położyć za to, że „schłopił Polskę“, że do Sejmu weszło za wiele chłopów!\*) Przypadek tylko zrządził, że „wdzięczny naród“ nie zamordował wkońcu swego obrońcy, twórcy wolnej Polski... Któż z ludzi doznał czarniejszej wśród rodaków niewdzięczności?

Buławę marszałkowską dała mu armja. „Naród“ usiłował — napróżno — nic o niej nie wiedzieć i nie mówić. Gdyby to od „narodu“ było zależało, odebranoby mu po

\*) Mam przed sobą broszurę tegoż Niewiadomskiego, pisaną jakoby w więzieniu mokotowskim po skazaniu go a przed śmiercią. Pomijam, że na mnie robi ta broszura wrażenie dzieła niepoczytalnego człowieka, któremu kazano żyć w powojennych, demokratycznych stosunkach polskich i chcę tutaj podnieść tylko jeden, zdaniem Niewiadomskiego najstraszniejszy, zarzut, jaki czyni Piłsudskiemu. Piłsudski powiedział raz: „Demokracja to kompromis“. Zdawałoby się, że społecznie i politycznie „umiarkowany“ Niewiadomski powinien za to Naczelnika Państwa pochwalić. Tymczasem wprost przeciwnie! Niewiadomski żąda absolutyzmu, lub rewolucji! A narodowi demokraci robią go za to świętym! Niech że tu kto zrozumie tego rodzaju logikę.

wojnie wszelką godność wojskową, ażeby dla nikogo nie mógł być niebezpiecznym. Byłoby to w „polskim stylu“.

„Wszystko zrozumieć, wszystko przebaczyć“, to może być równie wielkie jak „wszystko zrozumieć, niczego nie przebaczyć“. Pierwsze oznacza najwyższą moralność pokrzywdzonego, drugie powinno być zapowiedzią wymiaru sprawiedliwości dla krzywdzicieli. I ta obiektywna, dziejowa sprawiedliwość przyjdzie kiedyś, przyjść musi, bo inaczej świat stałby się norą zbójczą. A może nią będzie? Kto wie?...

Piłsudski przebacza bez miary. Był kiedyś rewolucjonista, który siedząc w kozie, szantażował P. P. S., że zdradzi rządowi carskiemu miejsce pobytu Piłsudskiego. Gdy wyszedł z kozy, odbył się nad nim sąd towarzyszy, ale Piłsudski na sądzie przebaczył. Dziś ten pan jest wyższym urzędnikiem państwowym. Był znów kiedyś „strzelec“, który atakował swego „Komendanta Głównego“ w najbardziej skandaliczny sposób, szargając jego imię, buntując się przeciw jego rozkazom, nie licząc się z niczem. Piłsudski mu wszystko przebaczył. Dziś ów dawny strzelec jest generałem wojska polskiego i nie może narzekać, żeby go Wódz Naczelny upokarzał lub szukał na nim pomsty.

Odtąd Piłsudski przebacza w życiu publicznym aż do śmieszności, aż do wzruszania ramionami ze strony swoich najzapaleńszych wielbicieli, aż do zupełnej dezorientacji szerokich kół społeczeństwa.

Kiedy po kalumnjach w prasie endeckiej prokuratorja Rzeczypospolitej odczuła potrzebę wystąpienia w obronie Majestatu Polski, uosobionego w jego osobie, wprost zabronił rozpoczynania jakiegokolwiek akcji w tym kierunku.

Zamach dnia 5 stycznia 1919 r. jest tego najjaskrawszym dowodem. Paderewski wiedział o zamachu i wyjechał przed 5 stycznia do Krakowa, zapowiadając, że stąd wyjedzie ewentualnie na Węgry. Gdy się zamach nie udał, proponuje mu Piłsudski bez zwłoki, aby został prezydentem ministrów. Propozycję przyjęto. Książę Sapieha, główny zamachowiec,

zostaje z aresztu ułaskawiony i wkrótce mianowany przez Piłsudskiego naszym posłem w Londynie. Aby przebaczenie było pełniejsze, czyni go potem Naczelnik ministrem spraw zagranicznych. Jenerał Januszajt s współspiskowiec, również nie ma do dziś dnia powodu do opłakiwania, że był jednym z głównych zamachowców. Piłsudski go przygarnął, przebaczył i ustrzegł młodziutkiego człowieka od wykołajenia... P. Cz... także spiskowiec, zostaje wypuszczony, dawszy słowo honoru, że Warszawy nie opuści. Ucieka z Warszawy, zostaje wybrany posłem i Naczelnik potem wyraża się o nim życzliwie. P. Dymowski, spółnik p. Cz... dochodzi jako poseł do majątku. Niejaki Skrudlik, dawny oficer „werbunkowy“ p. Sikorskiego, występuje podczas zamachu (strzelał dwukrotnie do ministra spraw wewnętrznych Thugutta) i potem, jak opętany przeciw Naczelnikowi. Włos mu z głowy nie spadł i dopiero po latach obrywa kilka miesięcy kozy za co innego. P. Stroński, dziennikarz Paderewskiego, robi karierę na zwalczaniu Naczelnika; zostaje posłem sejmowym,

Można zaryzykować twierdzenie, że Piłsudski przebaczał wrogom z największą dla nich korzyścią, a natomiast nie dbał o swoich przyjaciół i najbliższych, tak samo zresztą, jak nie dbał o siebie samego. Jego oficerowie najgorzej awansowali w czasie wojny światowej; pensje mieli tak śmiesznie niskie (znaczniejszą ich część oddawali do wspólnej kasy na cele P. O. W.), że żyć musieli nieraz jak kameduli... Nie prosząc o nic dla siebie, nie lubił prosić i dla swoich.

Klasycznym przykładem „wdzięczności“ wobec Piłsudskiego jest sprawa jenerała Szeptyckiego. Dwa razy jenerał zawdzięczał Piłsudskiemu rehabilitację moralną przeciwko szalonym atakom narodowej demokracji. Prasa tej partji okrzyczała go za zdrajcę, bo był bratem metropolity Szeptyckiego. W wojnie rosyjsko-polskiej w 1920 r. Szeptycki względem Najwyższego Wodza zawdzięcza, że uszedł smutnych konsekwencyj swego zachowania się na froncie. Reszty dokonała zbawcza czerwotka, która zrobiła jenerała politycznie niety-

kalnym. I ten sam generał Szeptycki staje jako minister spraw wojskowych do usług tymże samym narodowym demokratom przeciw Piłsudskiemu, wobec którego zachowuje się jak wróg zajadły. Ba, wyzywa na pojedynek Pierwszego Marszałka Polski!

Otoczony nienawiścią całej niemal polskiej klasy posiadającej dokonywa Piłsudski ogromnego dzieła. Tworzy siłę zbrojną dla obrony państwa i kreśli jego granice. Wewnątrz wprowadza demokrację, jedyną możliwą formę istnienia Polski jako państwa. Jemu zawdzięcza Polska Sejm ustawodawczy. Narodowi demokraci Sejmu nie chcieli. Przygotowali wszystko, aby w dniu 16 stycznia 1919 r. utworzył się „Komitet Narodowy“ za cenę zrzeczenia się wyborów, które miały się odbyć w dziesięć dni później. Groźba Piłsudskiego, że do utworzenia „Komitetu“ nie dopuści, umożliwiła wybory sejmowe i cały następny układ konstytucyjny Polski. Oczywiście, że narodowa demokracja nie chciała Sejmu i to Sejmu wybranego w 5-cio przymiotnikowym głosowaniu! Taki Sejm decydował o ustroju państwa, czynił je demokracją na najszerzych opartą podstawach, zapobiegał łowieniu ryb w mętnej wodzie jakiegoś niekontrolowanego bezpośrednio przez społeczeństwo „Komitetu Narodowego“ i zamykał drogę do jakiegś monarchji, czy dyktatury. Mistrze zakulisowych wpływów, łapania posad i głosów w różnych komitetach samozwańczych, narodowi demokraci długo nosili w sercu nienawiść do Piłsudskiego za to przecięcie węzła i zwołanie Sejmu demokratycznego. Trzeba było stanąć przed wyborcami, starać się o głosy milionów zamiast zadowalniać się — jak dotychczas — garścią ludzi wyprzegających konie temu czy owemu „wielkiemu“ Polakowi...

Powszechne i proporcjonalne głosowanie stoi też do dnia dzisiejszego kością w gardle różnym panom, bo czują, że trzeba dużego wysiłku, aby je obalić. Narazie więc lżą Sejm sam w sobie, narzekają na „polityko-manję“ masy polskiej i przy współczujących głosach gawiedzi umysłowej tęsknią za

wyborami ograniczonymi, w których by różni „ziemianie“ i wogóle „ludzie poważni“ mieli przywilej zasiadania w Sejmie, zrównanym oczywiście z Senatem, jako „Izbą Wyższą“...

I znowu warto przyjrzeć się, jak się te sprawy układały w głowach takich jak np. Niewiadomski. Przed sądem powiedział on: „Chwilę, kiedy naród polski potrzebował pracy i skupienia, kiedy potrzebował komendy krótkiej i słuchanej bezwzględnie, rządu silnego — kiedy osaczony dookoła przez wściekłe psy, powinien był zamienić się w jedną wolę i jeden miecz — tę chwilę Naczelnik Państwa uznał za odpowiednią, żeby rzucić naród w odmęty politykowania, rozpętać nienawiść i walkę partyjną. Zdecydował, że ma być Sejm demokratyczny, opierający się na 5-cio przymiotnikowym głosowaniu“.

Czyli, Niewiadomski bierze za złe Piłsudskiemu, że nie został raczej dyktatorem! Bo dyktatora można potem zabić, a powszechnego głosowania i demokracji tak łatwo zastrzelić z rewolweru nie można!

Żale narodowej demokracji o tę demokratyzację Polski wydać się muszą pozornie jeszcze dla tego dziwne, że weszła do Sejmu Ustawodawczego jako największa, bo 129 członków licząca, partja. Ale nie chodziło o liczbę posłów, lecz o przekłętą system demokratyczny, którego narodowa demokracja nie chciała i nie chce. Gigantyczny pomysł Piłsudskiego stworzenia niepodległej Ukrainy kończy się nieudaną wyprawą na Kijów. Wyprawa ta spotkała się z powszechną ostrą krytyką, a jednak było to wcielenie ogromnej myśli politycznej. (Nie chodzi mi w tej chwili o rozpatrywanie motywów wojskowych płynących z samej wojny rosyjsko-polskiej). Jest to także pomoc polska udzielona ruchowi zbrojnemu Ukrainy, którego celem było oderwanie się od Rosji i utworzenie Niepodległej Ukrainy. Był to — w razie powodzenia — straszny cios w imperjalizm rosyjski, uważający Ukrainę za swoją zdobycz od trzech wieków, cios w panowanie Rosji nad Morzem Czarnym, cios w cały ekonomiczny ustrój państwa rosyjskiego „białych, czy czerwonych carów“! Wszystkie żywioły w Europie Zachodniej, które wierzyły w zwycięstwo generała Denikina

i w rezultat tego zwycięstwa: powrót caratu; Anglja, która dała Denikinowi znaczne pieniądze, Francja oczekująca od caratu zwrotu swoich 20 miliardów franków, musiały być oczywiście przeciwnymi wyprawie Piłsudskiego na Kijów, bo rujnowała ona wszystkie ich projekty. A u nas narodowa demokracja, wyglądająca „odrodzonej Rosji“ jak kania deszczu (czytaj natchnioną mowę p. Paderewskiego w Sejmie Ustawodawczym), ta partja, która rosła od 1905 r. popieraniem Rosji i walką z Ukraińcami w Polsce, a obok niej cała ogromna rzesza brutalnie i zwierzęco wywłaszczonej szlachty polskiej na Ukrainie, Wołyniu i Podolu, liczącej również na „restaurację“ monarchiczną Rosji jako na możliwość powrotu do swoich dóbr ukraińskich — były bezwzględnie przeciwne wyprawie Piłsudskiego na Kijów. Socjaliści zaś nie chcieli rozszerzać, lecz jak najprędzej skończyć wojnę, w czym zgadzali się z całym światem socjalistycznym, znękanym wojną do ostateczności. Błąd wyprawy kijowskiej — ujawniony zresztą dopiero po jej nieszczęśliwym przebiegu — polegał na nieścisle obliczeniu siły a raczej słabości ruchu narodowego Ukraińców. Nie można było wskrzesić Ukrainy wojskiem polskim; potrzebna do tego była wola milionów Ukraińców. Woli tej nie było. Nie było jej nawet w takiej małej mierze — jak ją mieli Polacy!

Ale od spokojnej oceny niepowodzenia wielkiej myśli, aż do potępiania tak bezwzględnego, tak pieniącego się nienawiścią, jak to uczynili „rodacy“ wobec Piłsudskiego, jest ogromna przestrzeń. Ironją historii może być kiedyś powtórzenie wyprawy kijowskiej, ale już za zgodą Francji, a zwłaszcza Anglii... Ci sami zaś historycy polscy, którzy dzisiaj szukają najłżejszych historycznych śladów pierwszego wodza polskiego, który przed tysiącem lat uderzył mieczem w bramę kijowską, gotowi są ukamienować Piłsudskiego, współczesnego im polskiego zdobywcę Kijowa.

Dwa razy zdobywa swoje ukochane stare Wilno dla Polski wbrew Sejmowi, rządowi i wbrew mocarstwom zachodnim. Umacnia poło-

zenie państwa dwoma — jedynymi — sojuszami — jakie zawarła Polska. Jego wyjazdy do Paryża i do Bukaresztu kończą się zawarciem sojuszów obronnych, będących dotąd osiami, na których obraca się zagraniczna nasza polityka.

Gdyby który z ludzi powszednich zdobył się na część zaledwie tych czynów historycznej miary, opiewanoby go za życia jako „bohatera narodowego“. Piłsudski zyskuje sobie tylko cześć i miłość najuboższych klas w Ojczyźnie: robotników, chłopów i garści inteligencji. Wszystko inne pozostaje zimne, niechętne.

Upłynęło już z górą ćwierć wieku od czasu, gdy Piłsudski stanął do pracy publicznej. Praca ta, w każdej fazie, jest tak oryginalną, tak pozbawioną banalności, a równocześnie odbywa się w warunkach tak szalenie dramatycznych od początku do końca, że w każdym innym narodzie byłby to najwspanialszy temat przedewszystkiem dla sztuki, a niemniej dla nauki poważnej, dla historii i polityki. W Polsce czegoś podobnego nie widzimy. Nieśmiała i zupełnie niepoinformowana nauka, właściwie niczego nie wie o dziejach tych głębin polskich po r. 1863. Nie lepiej jest z ścisłą nauką wojskową. A sztuki piękne? Po za lotnym rojem piosenek żołnierskich i ludowych śpiewanych o Piłsudskim przez młodzież robotniczą i inteligencką, po za kilku pieśniami bardziej uroczystymi, po za legendami, opowiadaniem podczas odpoczynku ludzi pracujących, któż z „wielkich“ pisarzy polskich spojrzął na Piłsudskiego życie, walkę i męczeństwo jako na temat literacki? Scena polska nie zna nowoczesnej martyrologii polskiej! Widzowie teatrów polskich tysiąc razy lepiej są poinformowani o życiu kokot paryskich, niż o życiu najznakomitszych ludzi polskiego społeczeństwa. To się nazywać ma „odrodzeniem“ Polski... Po Wyspiańskim niema już niczego polskiego na tej scenie, oprócz bają szlacheckich, czy drobnomieszczańskich. Naród polski nie znosi wogóle wielkości i niemal niecierpi współczesnego sobie wielkiego człowieka. Czyżby to

właśnie znamionowało wielkość samego narodu? Jest to zagadnienie psychologiczne, bardzo ciekawe.

Formalna pełnia władzy, którą miał w ręku jako Naczelnik Państwa i Wódz Naczelny, skłaniała wielu ludzi niecierpliwych i krótkowzrocznych — i to zarówno wśród przyjaciół jak i wrogów — do snucia myśli o „dyktaturze“ Piłsudskiego. Do dziś dnia jeszcze są wśród nas dobrzy ludzie, którzy nie mogą mu darować, że nie ogłosił się dyktatorem, „nie wziął Polaków za łeb“ i nie zaprowadził idealnych porządków w Państwie. Nie mogą ci dobrzy ludzie zrozumieć, że dyktatura zabiłaby Państwo. Olbrzymi wzrost demokracji po wojnie czyniłby Polskę „dyktatorską“ jakimś dziwolągiem w rodzinie narodów. Wewnątrz zaś dyktatura musiałaby w Polsce przemienić się w rewolucję robotniczą i chłopską przeciw klasom posiadającym. Rewolucja polska, izolowana zresztą w Europie Zachodniej, mogła być powodem decydujących klęsk wojennych i gospodarczych państwa.

Wykonywanie dyktatury w Polsce przyniosłoby niemal tyle samo szkód, co i rządy endeckich urzędników. Tych kilka motywów wskazuje (obok wielu innych) na szalony kłęb sprzeczności, w jakie wpadłaby Polska na wypadek czyjejkolwiek dyktatury. Ale prostolinijność umysłów starych dzieciaków, zaprzysięganych w podziemiach kościołów przez równie mądrych księży w celu stworzenia dyktatury, czy jeszcze głępszego pomysłu: monarchji w Polsce, znajdzie zawsze pewną liczbę zwolenników...

Piłsudski nigdy nie myślał o dyktaturze, czem dowiódł wielkości swojej, jako męża stanu. Mądrości tej nie wierzą dotąd ani narodowi demokraci ani bolszewicy. Ani jedni ani drudzy nie wytrzymaliby i w danych warunkach poszliby na awanturę dyktatorską...

Humorystyczna historia z „insygnjami“ Korony Polskiej, które jakoby miał schować i ukryć Piłsudski, jest znamienym objawem strachu przed jego dyktaturą, czy nawet przed koronowaniem się na króla polskiego. Narodowi demokraci nie lękali się nawet śmieszności w tej sprawie i oskarżali go przez

długie czasy o takie właśnie złowieszcze zamiary. Ci sami nawet, którzy marzą głośno o jakimś dla Polski królu, chociażby z Este-Burbonów, choćby z Habsburgów, choćby nawet z Anglii pochodzącym.

Oprócz właściwości „państwowej miary“ warto wskazać na pewne cechy osobistości Piłsudskiego jako człowieka prywatnego. Tu rzuca się w oczy jego bezinteresowność i czystość osobista. Dał Polsce wszystko, co człowiek dać może, dla siebie nie żądał niczego. Grosza nie pragnął, zaszczytów nie pożył nigdy. Jako Naczelnik Państwa był tak marnie uposażony, że np. w miesiącu lipcu, kiedy musiał dnia 4 (święto amerykańskie) i 14 (święto francuskie) wydawać dwie oficjalne uczy, pochłaniały one uposażenie całego miesiąca. Mianowany honorowym doktorem Uniwersytetu Jagiellońskiego musiał ugościć profesorów Almae Matris krakowskiej; poszła na to prawie miesięczna pensja. Na belwederskich zato kolacjach Naczelnika Państwa niemal głód był kucharzem. „Pieniędzy nie lubię“ — mówił publicznie przed zgromadzonymi posłami i notablami w Prezydium ministrów, zrzekając się kandydatury na Prezydenta. I mówił szczerą prawdę. Ileż milionów darował Polsce ten ubogi wielki człowiek! Cały znaczny fundusz, zebrany przez przyjaciół i wielbicieli swego genjuszu, ofiarował w r. 1920 Ojczyźnie! Ileż pensyj swoich przeznaczył w darze na weteranów z 1863, na sieroty po legionistach i na swoje ukochanie — Uniwersytet wileński!

Po wybraniu Prezydentem Gabrjela Narutowicza, nalega Piłsudski, aby niezwłocznie objęto i skontrolowano wszystką własność państwową w Belwederze, bo narodowi demokraci gotowi go posądzić o sprzeniewierzenie... Po tem, com dotąd napisał, zrozumie czytelnik powagę tych obaw.

Kiedy opuścił Belweder, przenosi się do tak małego mieszkania prywatnego, że poseł francuski ofiarowuje mu mieszkanie w Legacji francuskiej. Oczywiście także dla bezpieczeństwa życia Naczelnika w własnej stolicy... Piłsudski odmówił.

Osiada wreszcie w domu, zbudowanym ze składek przyjaciół na kilku morgach piasków podmiejskich. Chciałbym tam poprowadzić naszych licznych dorobkiewiczów — dygnitarzy, którzy z nędzarzy przemienili się — ach jakże rychło i prosto — w zasobnych posesjonatów, chciałbym, aby widzieli skromność prywatnego życia naszego wielkiego człowieka... Piłsudski dzisiaj „żyje z pióra“, on który mieczem obronił Polskę i mądrością ją urządził, aby żyć i rozwijać się mogła. Nigdy dotąd nie pisał, aby żyć z tego. Obecnie utrzymuje się żmudną pracą pisarską. Panowie jenerałowie, siedzący na dobrach, kupionych za bezcen, panowie politycy, robiący interesy na swoim wpływie publicznym, panowie urzędnicy zabezpieczający sobie przezornie znakomicie płatne posady w koncernach i towarzystwach akcyjnych, jakże musicie pogardzać tym litewskim odludkiem, do którego czystych i pięknych rąk, nie przylgnął żaden grosz publiczny; jakże nisko cenić musicie człowieka, który „nie lubi pieniędzy“. „Warjat, niebezpieczny warjat!“ wołacie w głębi duszy zgodnym chórem bractwa łatwego zysku. (B. Ł. Z.).

Czy może ktokolwiek dziwić się, że po tych wszystkich doświadczeniach Piłsudskiego z „rodakami“, odzywa się w nim czasem głośno bezbrzeżna pogarda dla typów polskich, przodujących w tych wszystkich przezemnie zaledwie dotkniętych ohydach? Mowy Piłsudskiego, w ostatnich czasach z różnych trybun wygłaszane, wskazują, że chce się wreszcie rozprawić z ludźmi, którzy jemu i jego dziełu tyle nadokuczali, tyle zaszkodzili. Jest w tych mowach wiele akcentów, uderzająco podobnych do odezwań się Bismarka po r. 1890 wobec Wilhelma II.

Po wielkim mistrzu niemieckiej polityki, który zjednoczył Niemcy i „wsadził Germanję na siodło“, przyszedł koronowany reklamista, deklamator i frazesowicz, rażący boleśnie starego, dymisjonowanego kanclerza. Zapoczątkował „nowy kurs“, który musiał skończyć się straszliwą klęską. Ale na razie wszystko było patriotyczne, wystawne, wspaniałe, olśniewające...

Reformy socjalne Wilhelma II. wyrosłe na tle obłąkanej nienawiści cesarza do socjalistów, rozwój przemysłu, wzrost potęgi kapitału bankowego w Niemczech, cały tandetny, niezdrowy, szowinizmem przepojony rozmach pobismarkowskich Niemiec, nie złudziły Bismarka. Umarł nieprzejednany, a w kilkanaście lat po jego śmierci stanęły Niemcy Wilhelma II. nad przepaścią, w którą najpierw runęły trony Hohenzollernów i innych królów i królików niemieckich...

Sulejówkę tem się różni od Friedrichsruhe, że Piłsudski ma do czynienia z wielką masą polską a nie z jednostką cesarską, w którą bił bezlitośnie genialny starzec, zagrzebany w swym wiejskim pałacu, chociaż miał „dopiero“ lat 76 i sądził, że może jeszcze z korzyścią służyć Ojczyźnie. Piłsudski ma dziś lat 58, a wielu „wdzięcznych rodaków“ uważa, że jest już za stary do odpowiedzialnej pracy, „że się już skończył“. Analogia kuleje jeszcze i dlatego, że nie chodzi w sporze o to, czy jakiś królik straci koronę, lecz o los całego państwa polskiego.

I u nas jednak ma się wrażenie, czytając większość gazet, że od czasu, gdy zwycięski wódz polski osiadł „na pensji“ w Sulejówku, zaczęła się dopiero świetność armji polskiej. Wspaniałe zaiste manewry, na dwie strony wrogom grożące, wystawne do tego stopnia przyjęcia obcych jenerałów, że aż p. jenerał Gouraud został tą wspaniałością przygnębiony (dał temu wyraz publicznie!...), krzątanie się około nowych mundurów („których nam niegdyś zazdrościł świat cały“) „wdziek“ towarzyski pewnych bardzo widnych postaci oficerskich, rozwijany tak mile, że człowiek świecki bywa oczarowany widokiem tych „wojowników“, to wszystko wskazuje, jak łatwo obywa się Polska bez ponurego wodza, którego żołnierze-dubinoski ubóstwiali, a oficerowie stawali się apostołami jego idei państwowych i byli gotowi na wszelkie poświęcenia dla tych idei.

„Reklamy, reklamki“, temi słowy piętnuje Piłsudski „nowy kurs“ w Polsce. Pamięta swoje czasy konspiratora, potem żołnierza, mieszkającego w wilgotnych „ziemiankach“ (chorował

całe życie na serce), potem więźnia niemieckiego, a jeszcze potem więźnia dobrowolnego w Belwederze. Pamięta i nie może zapomnieć, że tworzył dzieło swoje w męce, decydował wielkie ryzyka bez udziału i współpracy gawiedzi, że żołnierze jego miesiącami całymi, podczas ostrej zimy, nie mieli spodni (dosłownie), a jednak bili się jak lwy, budząc podziw w najlepiej uposażonych żołnierzach niemieckich. Wie dobrze, że praca wodza, to opanowanie najpierw siebie samego, to pozbycie się wszelkiej blagi w swej duszy i na zewnątrz. W nędznej szarej bluzie bez żadnej odznaki (oprócz strzeleckiej na piersiach tarczki, „parasolem“ żartobliwie nazwanej), bez pompy, bez broni przy sobie, porywał tysiące w czasie wojny światowej i krocie tysięcy w czasie wojen polskich, działając na ich moralność (powtarza to słowo „*morale*“ przy każdej sposobności), wiodąc ich dusze, odkopując najgłębsze ich czynniki duchowe. Oficerów przygotowuje do służby demokratycznemu państwu polskiemu, ucząc ich sztuki wojennej, broniąc zarazem przed mechanicznie pojętymi naukami choćby najznakomitszych, lecz w zupełnie innych warunkach pracujących obcych armij i starając się stworzyć typ żołnierza-obywatela. Walczy wśród nieuchronnych sprzeczności, istniejących między „stałą armią“ a wolnością demokratyczną, chcąc pogodzić armję z demokracją. Boleje nad ciemnotą jenerałów, rumienić się musi nieraz w duszy wobec rozpaczliwej niewiedzy rzeczy ogólnoludzkich na owych szczytach armji naszej, które zawdzięczamy państwom zaborczym, — ale gotów zawsze dla dobra sprawy pojednać się z p. Dowborem-Muśnickim, z Józefem Hallerem i z innymi, których narodowa demokracja niezmordowanie przeciw Piłsudskiemu wysuwa, zupełnie tak, jak to było za czasów legionowych z Baczyńskimi i Puchalskimi... W r. 1920 ofiarowuje dwukrotnie wysokie dowództwo jenerałowi Dowbor-Muśnickiemu, który dwukrotnie odmawia, nie chcąc brać odpowiedzialności za ratowanie Ojczyzny. W Poznańskim rodzi się wówczas potworny pomysł stworzenia odrębnej, poznańskiej armji, która nie bierze udziału

w walce Polski przeciw bolszewikom i ma być podstawą jakiegoś odrębnego rządu. Rząd bowiem „warszawski“ — wedle tego pomysłu — odda niezawodnie stolicę wrogowi i ucieknie gdzieś w nicość, a wtedy powstanie nareszcie „Zachodnia Polska“ bez „Galicjaków z Kongresowy“ i... ach! bez żydów, bez masonów, bez socjalistów. Jednem słowem: ideał państwa polskiego wedle recepty narodowo-demokratycznej. Piłsudski zwycięża bolszewików i — każe zapomnieć o roli „Armji Zachodniej“... Czyni to dla uratowania na przyszłość jedności armji i państwa. Jakże sceny urządzali poznańscy posłowie wśród najwyższego natężenia walk decydujących, tego dowodem pamiętny epizod, kiedy to p. marszałek Trąpczyński sprowadził do Belwederu na „Radę Obrony Państwa“ deputację, składającą się z ks. posła Adamskiego i jakichś dwóch starszych pań, owianych zapachem zakrystji. Deputacja groziła rewolucją Poznania (dosłownie), jeżeli się stamtąd nie usunie natychmiast jakiegoś młodziutkiego oficera w II. Oddziale Sztabu. Ludziska mieli wtedy swoje kłopoty. Dzisiaj mamy inne: z krojem mundurów i z tem, żeby Piłsudskiego nie zrobić Naczelnym Wodzem w jakiejkolwiek wojnie, któraby zagroziła istnieniu państwa. Boć nawet bulwarowa prasa francuska jest zdania, że armja polska rozwinęła się niesłychanie, a wodzowie... także. Wystarczy przecież mianować kogoś Naczelnym Wodzem, zachowując przepisy służbowe, aby go mieć w całej doskonałości. Potrzeba tylko podpisu Prezydenta Rzeczypospolitej i ministra spraw wojskowych. Będziemy więc mieli bez nadmiernych trudności nowego „Poniatowskiego“. Skoro austriackie A. O. K. (*Armee-Ober-Kommando*) mogło tak robić z Legionami, dla czegożby Polska nie miała pójść w udeptane ślady?

Piłsudski sam konsekwentnie psuje sobie „karjerę“. Pisząc swoje dzieła o bojach z r. 1914 i z r. 1920 czyni sobie — w imię prawdy historycznej — bardzo wielu wrogów wśród wpływowych rodaków, „zatrząskuje drzwi“ przed mianowaniem swoim na Naczelnego Wodza w przyszłej możliwej wojnie. Nie chcę tutaj przytaczać jego ostrych sądów o tak

zresztą powszechnie znanych zjawiskach, jak fabrykowanie „oficerów tyłowych“ przez NKN w czasie wojny światowej, lub o dziwnych sprawozdaniach różnych głośnych dziś jenerałów z czasów wojny polsko-rosyjskiej; zostawić to trzeba historii, która zrozumie w całej pełni oburzenie Wodza, na którego spadała ogromna odpowiedzialność za działanie innych.

Ale i dla laika w sprawach wojskowych musi być zrozumiałe oburzenie moralne człowieka, który przy wyjściu „kompanji kadrowej“ mówił do swych żołnierzy: „szarż Wam nie daję, zasłużycie je sobie w bitwach“ — a potem widział oficerów legionowych, których mianowano za czynności policyjne, którzy awansowali za posługi sekretarskiej natury, za pochlebstwo, za polityczne wygadanie różnym panom z NKN., zdala oczywiście od frontu, zdala przede wszystkim od bitew!... To chyba można zrozumieć. Armja, która będzie szafowała stopniami oficerskimi bez wartości i przeznaczeń bojowych, armja hodująca biurokratów, lub pokojowych spryciarzy wśród swojego ciała kierowniczego, może źle skończyć. Przykładem Austria.

Ale któryż Polak zniesie od Polaka ostre słowa? Któż przebaczy wielkiemu człowiekowi rzecz najstraszniejszą: grubiaństwo towarzyskie? Bo Piłsudski ma obecnie wady towarzyskie. Mówi w ostatnich czasach rzeczy tak przykre, takie „proste“ i brzydkie słowa, że nie podobna zrobić go na przyszłość Naczelnym Wodzem. Wady wielkich wodzów są nawet zjawiskiem międzynarodowym. Napoleon cierpiał, jak wiadomo, na epilepsję, kopał senatorów francuskich, był niegrzecznym wobec papieża i t. d., Nelson złączył się z kobietą upadłą, Fryderyk II. walił laską swoje otoczenie, Foch ma ciężkie kłopoty z pęcherzem i t. d. To wskazuje, że ci wielcy żołnierze nie nadawali się właściwie w oczach grzecznych ludzi na naczelników wodzów, chociaż Francuzi, Niemcy i Anglicy znosili te ich wady cierpliwie dla osiągnięcia wielkich zwycięstw.

Sam Piłsudski tak o tem pisze w jednym z ostatnich artykułów dziennikarskich:

„Naczelnicy Wodzowie na całym świecie mają to do siebie,

że ich szanują. Gdy zaś z imieniem któregoś z tych Naczelników Wodzów związane są zwycięstwa — szanują ich w dwójnasób. Kiedy zaś zwycięstwa kończyły się zwycięską wojną, szanują ich w trójnasób. W Polsce jest inaczej“...

Ale Polacy tego nie robią, bo u nas rodzą się naczelnicy wodzowie już od czwartej rangi począwszy. A demokracja nasza, w odróżnieniu od francuskiej czy angielskiej tem się odznacza, że nie jest zwykłą demokracją, lecz „narodową“ i dlatego najzjadlej ściga wielkiego człowieka za to, że był całe życie demokratą. Zresztą może to wszystko się zmieni, gdy Polska zostanie monarchją. Wtedy król jakiś, albo jego stryjeczny brat, będzie łatwo mógł zostać Naczelnym Wodzem, jak n. p. arcyksiążę Fryderyk-Wieszatyl, i cały kłopot zniknie formalnie.

\* \* \*

Kończąc szkic powyższy, w którym musiałem niestety dotknąć aktualności politycznej, nie mam zamiaru wołać „biada ludowi, co własne morduje proroki!“ Tyle tych proroków ukamienowano w każdym narodzie, że ludzkość dawnoby już zginąć powinna. Coprawda, my Polacy mamy od dłuższego czasu specjalny talent w traktowaniu swoich wielkich ludzi tak, żeby im „życie zbrzydło“. Na tym punkcie okazuje się często zadziwiająca zgoda między wszystkimi niemal kierunkami i odłamami polskiej społeczności. Przestrogi, uwagi, względy, toną w tej powszechnej antypatii polskiej do prawdziwej wielkości. Nie potrzebujemy może dlatego wielkich ludzi, bo mamy w razie potrzeby coś, czego inne, mniej szczęśliwe współczesne narody nie mają, — a mianowicie cud... Cudem wszystko się u nas dzieje, cudem się kończy. Zupełnie jak w Starym Testamencie cuda, okazane na Jozuem (pod Jerychem), Gedeonie, Dawidzie itd., uratowały naród wybrany od zguby, tak i nas cud uratuje. Zbawcza wiara w cuda nie potrzebuje wielkich ludzi. Pastuszek jakiś lub dziewczyna wiejska wystarczą, jeżeli tylko zjawi się w porę cud, którego zresztą należy zawsze oczekiwać, o ile chodzi o Polaków. Ale wymowniej, niż ja, uczynił to wielbny ksiądz

arcybiskup ormiański Theodorowicz, kiedy ogłaszał „Cud nad Wisłą“, poniewierając równocześnie wodzem, który tego cudu dokonał. Liczenie na cuda wydaje się śmiesznem, jest jednak logiczną konsekwencją postępowania licznych Polaków. Wiara w cuda jest u nas niemal powszechną.

Jesteśmy narodem mocno powierzchownie na życie publiczne patrzącym. Odsuwano nas przez cały wiek XIX od tego życia, zostawiając tylko troski prywatne. Nie dokonaliśmy w sobie samodzielnie tych zadań, których dokonały wolniejsze od nas narody. Zachowujemy się tedy często w życiu publicznym jak dzieci, inteligentne, czasem bohaterskie, czasem okropnie źle wychowane — dzieci. Cudowność w umyśle dziecka odgrywa taką właśnie rolę, jak u nas wśród dorosłych w życiu publicznym. Zjawisko nieznane, niezbadane, niebywałe musiało stać się — cudem. Ale ile ten cud wymagał przewidywania, ile woli twórczej, ile upor, ile cierpień duchowych tych ludzi, którzy do „cudu“ dążyli, tego nikt nie chce zbać, tem się nikt nie chce nawet zająć.

Nigdy Polacy zresztą nie uchodzili za naród mający skłonności do mistycyzmu, ani do oderwanej od świata zdarzeń religijności; jest to przeciwnie naród skłonny do pogodnego i lekkiego traktowania spraw świata zewnętrznego. To też „cudowność“ wielkich zdarzeń w życiu Polski jest objawem raczej lekkomyślności, niż religijności polskiej. Ale jakże wygodną jest wiara w cuda, których mają dokonać inni!...

\* \* \*

Na tem urywam tę próbę szkicu. Poczęła się ona ze spostrzeżeń, że Polacy są narodem bardzo ugrzecznonym i nie lubią grubiaństw. Gdy Piłsudski wypowiedział 9 sierpnia 1925 r. w Warszawie mowę na Zjeździe Legionistów, wywołał powszechne zgorszenie. Nawet wśród bezpośrednich, tak zazwyczaj entuzjastycznych, słuchaczy. Dlaczego? Oto użył kilku słów „niewymownych“, drapiących uszy dam i panów w pewnym wieku. „Oby Komendant wcale nie przemawiał publicznie,

jeżeli ma tak przemawiać“ — słyszano przy wyjściu z sali i potem w licznych rozmowach prywatnych.

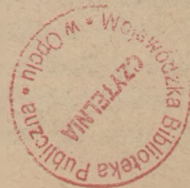
Można zrozumieć to ubolewanie różnych przyjaciół i wielbicieli Piłsudskiego po wysłuchaniu tej mowy. Ale przecież rzecz nie leży w kilku, choćby „najgrubszych“ słowach, lecz w samym temacie mowy, która była najostrzejszym protestem przeciw reklamiarstwu i polityce pozorów. Po za formą nie można nie widzieć treści. Uderzającym raczej, niż gorszącym dla mnie zjawiskiem była forma.

Wszak dotychczas nie znałem wśród ludzi publicznych grzeczniejszego i uprzejmniejszego w wyrazach i w formach towarzyskich, niż Piłsudski. Cierpliwość, wyrozumiałość, delikatność osobistą potęgowało jeszcze dobre wychowanie. Nikt nigdy nie mógł się skarżyć na brak taktu z jego strony. Dziś zarzucają mu właśnie niedelikatność, grube, niegrzeczne wyrażenia, niemożliwe towarzysko. Wszystko to prawda. Ale i prawdą jest co innego, nieskończenie ważniejszego; prawdą historyczną jest, że olbrzymia liczba małych ludzi w Polsce zachowywała się wobec niego i wobec jego wielkiego dzieła tak nikczemnie, tak nieludzko, że słowo „grzeczność“ w związku z tymi ludźmi staje się, stać się czasem musi czemś karykaturalnem. Ale i tutaj rzecz leży nie w samych formach dyskusji a w czemś zupełnie innem.

Piłsudski nie potrzebuje zresztą obrońców, lecz czegoś zupełnie innego. Oto potrzebne jest poznanie dokładne jego czynów, bo zlewają się one z epoką dziejową niezmiernie ważną w życiu Polski. Naród (mniejszość jego) gotujący się w niewoli do czynu wyzwolenczego, łamiący się sam ze sobą aż do dnia dzisiejszego, naród rozdwojony, nawet gdy chodzi o pojęcie swego państwa, który wchodzi nagle w stadium własnej odpowiedzialności państwowej, naród którego części uwstecznione żyją jeszcze pojęciami wieku XVIII, naród, który wogóle doszedł do niepodległości w tak oryginalnych, bo z niczem porównać się nie dających, warunkach, wymaga gwałtownie oświecenia ze strony historycznej wiedzy, jeżeli chce się uchronić od śmiertelnych błę-

dów. W naszych szkołach uczą się już uczniowie o Lidze Narodów. Prześlicznie. Ale nie słyszałem o żadnym podręczniku szkolnym, z którego uczoneby młodzież polską, jak rzeczywiście powstała niepodległość Polski? Co też z nią wspólnego ma Piłsudski i ludzie, z którymi nierozdzielnie pracował? Takiego podręcznika niema; widocznie go nie potrzeba. Zastępuje go cud. To nawet może lepiej, bo uczoneby może w szkołach, że bitwę pod Warszawą wygrał jakiś generał, który długo leżał krzyżem przed ołtarzem, bitwę pod Grodnem inny, podobnie zasłużony, itd. Czem są w dziedzinie nauki historii podręczniki szkolne i czem być mogą na rozkaz partji rządzącej, wiemy z czasów rosyjskich czy austriackich. Polski Łłowajski nie nęci mnie wcale. Można na te tematy dowoli fantazjować, bo, jak wiadomo, „Polskę dostaliśmy darmo...“. Podarowali nam ją dobrzy przyjaciele tak, że my już nie mieliśmy właściwie nic do roboty. Odpowiada to nawet ściśle nastrojowi znacznej części Polaków, o których Piłsudski mawiał, że chcieliby Polski, byle nie kosztowała więcej, niż „jeden grosz i jedną kroplę krwi“. Wprawdzie kto darował, ten równem prawem może odebrać, ale skoro darowano darmo, to naprawdę niepotrzebny i zbędny nawet narodowi był wielki człowiek, któryby uosabiał to, co Polska sama zrobiła dla siebie i dla drugich... Jest to logika poglądów, zależna od pojmowania dziejów. Cóż, kiedy tych dziejów dotąd nikt z uczonych nie próbował nawet dociec i zbadać, chociaż są materiały obfite i ludzie — żywi świadkowie. O nauko polska! Jakże jesteś uboga duchem, skoro tych właśnie dziejów swej Ojczyzny nie znasz i drugim do poznania podać nie umiesz. Wyprzedzi cię — jak zawsze — pieśń polska!

Gdynia, 1 września 1925 r.



Wojewódzka Biblioteka  
Publiczna w Opolu

**CM KEK 319707**



000-319707-00-0